

Maria Libiszowska-Żółtkowska \*

## Dom inteligencki z tradycją ziemiańską w tle – esej wspomnieniowy

### Prolog

Hasło „dom rodzinny” odsyła myślami do wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości, kiedy to rodzice i dziadkowie tworzyli bezpieczną przystań, dbali o domowy wystrój, a przede wszystkim o rodzinną atmosferę. W tamtym okresie moja rodzina była wielopokoleniowa – dziadkowie, rodzice i wnuki. Ja i młodsi bracia dorastaliśmy w poczuciu bezpieczeństwa, otoczeni przez nich bezgraniczną miłością. Jako dziecko chłonełam wszystko, co mnie otaczało, powoli poznawałam znaczenie przedmiotów, uczyłam się nimi posługiwać, nierzadko balansując na niebezpiecznej krawędzi nauki na własnych błędach. Mama przez lata wracała pamięcią do traumy spowodowanej widokiem swojej trzylatki stojącej na taborecie w łazience, by widząc się w lustrze naśladować tatusia golącego się ostrą brzytwą. Szczęśliwie skończyło się na niegroźnym skaleczeniu, a ślad na policzku pod okiem długo był widoczny. Moi bracia byli bardziej pomyślni i dociekliwi w eksperymentowaniu. Do tej pory jest wypalona dziura w podłodze po poznawaniu przez nich właściwości saletry amonowej, zgłębianiu tajemnic zapalek

---

\* Prof. dr hab. Maria Libiszowska-Żółtkowska, Uniwersytet Warszawski.

czy wywoływaniu pożaru za pomocą szkła powiększającego. Zgodnie z maksymą ludową: „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” zapędy poznawcze doprowadziły jednego z nich do doktoratu z chemii.

Jak żyć, skąd czerpać wiedzę, kogo i w czym naśladować – to dylematy mego dzieciństwa, wtedy jeszcze bez telewizji i innych nośników obecnie spełniających rolę spolegliwej niani czy wszechstronnego edukatora. Pozostawało dopytywanie rodziców i dziadków, jak to było za ich dzieciństwa, skąd czerpali wiedzę, w co i z kim się bawili, jakie książki czytali, jacy byli ich rodzice itd. i dalej bez końca, a potem od początku. Zazdrościliśmy im mieszkania na wsi w dużych domach z ogrodem, w otoczeniu zwierząt. Lubiłam słuchać opowieści o oswojonym kruku Jurku, o dających się ujeżdżać kucykach, ukochanym puchaczku, o spanielu Timie i jego córce Neli. Jako dzieci marzyliśmy, żeby mieć psa, ale pragmatyczni rodzice długo nie dawali się ubłagać. Gdy byliśmy w liceum, mój najmłodszy brat przyprowadził królewskiego pudła Ika, który od razu zawojował serca wszystkich. Stał się prawdziwym przyjacielem rodziny i naszą ogromną miłością.

Dziadkowie i rodzice pozbawieni – zmianą ustroju politycznego i przesunięciem państwowych granic – rodowych siedzib i ziemskich posiadłości, oderwani od środowiska, w którym wyrosli, chętnie dawali się namawiać na wspomnienia i snucie opowieści, jak to ongiś bywało. Zawsze jednak zważali, by nie powiedzieć czegoś, co powtórzone przez dzieci w przedszkolu czy w szkole mogłoby rodzinie zaszkodzić. Im jestem starsza, tym częściej żałuję, że tak wiele z tego, o czym mówili lub o co nie dopytałam, jest już na zawsze zamkniętą księgą. Trochę wspomnień sami spisali, inne wyczytać można z zachowanych listów, zdjęć i dokumentów. Nie tylko stare herbarze, ale i współcześnie tworzone drzewa genealogiczne podpowiadają nieznanne koligacje i odkrywają pokrewieństwa po mieczu i kądzieli. Digitalizacja starych ga-

zet, książek, druków, listów i zdjęć powszechnie dostępna via Internet jest nieprzebraną skarbnicą źródłowych danych o czasach minionych. Społeczna i polityczna pozycja niektórych moich przodków zapewniła im stałe miejsce w historii. Współczesna technika pozwala na docieranie do zgromadzonych informacji i czytanie ich bezpośrednio na ekranie domowego komputera. Wychowana w epoce kałamarza i pióra z wiecznie łamiącymi się stalówkami, które kleksami plamiły zeszyty, oraz drewnianego liczydła, fascynuję się współczesnymi osiągnięciami techniki, z dobrodziejstw których chętnie korzystam. Z matczyną dumą podziwiam mego syna Marcina, dla którego praca w obszarze sztucznej inteligencji jest chlebem powszednim. To on nauczył mnie posługiwania się komputerem, mobilizował do samodzielnego zgłębiania jego tajników i korzystania z możliwości, jakie dają coraz to nowsze programy i sprzęty. Jego córki, a moje ukochane wnuczki, Kalina i Laura, posiadły te umiejętności, niezbędne w pandemicznym czasie zdalnego nauczania, niemal od kołyski.

Osobiste wspomnienia są z założenia pozbawione odnośników. Dociekliwi czytelnicy mogą sięgnąć do przepastnej biblioteki Google'a i po rzeczowych lub osobowych hasłach dotrzeć do przytoczonych lub przemilczanych faktów. Ja również z tych źródeł korzystałam. Wdzięczna jestem rodzicom, że spisali trochę swoich wspomnień, a dla mojej kuzynki Marii z Gołuchowskich Zachorowskiej mam niesłabnące słowa uznania i podziwu za trud napisania dwóch tomów sagi rodzinnej, w sumie 900 stron o naszych wspólnych przodkach odległych i bliższych.

## Dom inteligencji czasów PRL

Mój rodzinny dom, w którym spędziłam dzieciństwo i młodość (lata 1945–1970)<sup>1</sup> jest w mieście Łodzi, jak z dumą o swojej lokalnej metropolii mówią jego mieszkańcy, pod-

kreślając miejskie walory i akcentując nazwę własną wieloznacznego słowa. Bronią się w ten sposób przed dowcipami typu „mieszkasz w łodzi?, jakiej łodzi – podwodnej?” Co prawda przyszedłam na świat w Opocznie, i ta miejscowość towarzyszy mi niezmiennie we wszystkich urzędowych dokumentach, jednak dwa miesiące później rodzice przenieśli się do Łodzi. Zarówno Ojciec<sup>2</sup> jak i Mama<sup>3</sup> z tym miastem nie byli wcześniej związani. Po wojnie, pozbawieni własnych rodzinnych domów, poszukując nowej siedziby obrali reymontowski szlak „ziemi obiecanej”. Do wyboru miejsca osiedlenia skusiła ich perspektywa pracy zawodowej zgodnej z przedwojennym wykształceniem i przygotowaniem. Ojciec po Wiedeńskiej Wyższej Szkole Handlu Światowego (*Hochschule für Welthandel* in Wien) oraz praktyce w zakładach celulozy Steinhagena i Saengera (ci z *Pamiętki z celulozy* Igora Newerlego) zaangażował się w reaktywację przemysłu papierniczego, którego centrala ulokowała się w Łodzi. Papiernictwu pozostał wierny do emerytury. Mama po studiach historycznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie marzyła o pracy naukowej. Tworzące się w Łodzi akademickie środowisko stwarzało szansę spełnienia jej zawodowych planów i aspiracji. Z Uniwersytetem Łódzkim, którego była nie tylko świadkiem narodzin, ale także przez pięćdziesiąt lat aktywności akademickiej jedną z jego czołowych uczonych, związała się na zawsze.

Powojenna Łódź była miastem w miarę oszczędzonym przez wojnę, czego, oczywiście, nie można odnieść do jego przedwojennych mieszkańców, w większości Żydów i Niem-

---

<sup>1</sup> Mój życiorys można znaleźć w książce: *Między socjologią a religioznawstwem w teorii i badaniach Marii Libiszowskiej-Żółtkowskiej*, J. Mariański, E. Stachowska (red.), Polskie Towarzystwo Religioznawcze, Warszawa 2011.

<sup>2</sup> Stefan Libiszowski (1913–2013).

<sup>3</sup> Zofia z Gołuchowskich Libiszowska (1918–2000).

ców. W pierwszym roku po wojnie Łódź przejściowo była siedzibą władz państwowych oraz swoistą Mekką dla przedwojennej inteligencji warszawskiej, tułaczy ze wschodnich rubieży II Rzeczypospolitej, a także dla ludności wiejskiej poszukującej zatrudnienia w odradzającym się przemyśle. Prestiżem i mianem tymczasowej stolicy cieszyła się jednak bardzo krótko. Warszawa, którą okupant w barbarzyńskim zamiśle chciał zrównać z ziemią, z ruin i zgliszczy niczym Feniks z popiołów odradzała się z wiarą w lepszą przyszłość. Do Warszawy zewsząd ciągnęli jej dawni i nowi mieszkańcy. Powojenne hasło „cały naród odbudowuje swoją stolicę” zmobilizowało wielu tymczasowych łodzian do powrotu lub wyboru Warszawy jako swojego miasta. Pozostać w Łodzi czy dołączyć do wyjeżdżających do stolicy rodziny i przyjaciół to trudny dylemat, przed którym stanęli moi rodzice. Jednak Łódź zatrzymała ich na trwale. Dwadzieścia pięć lat później ja sama, początkowo tymczasowo, a później na stałe zamieszkałam w Warszawie, tworząc tu kolejny – w sztafecie pokoleń – dom rodzinny dla mojego syna, a on dla swoich córek. Spełniłam niejako marzenie rodziców, którzy czasami z sarkazmem lubili powtarzać „kto mieszka w Łodzi, sam sobie szkodzi”. Rodzice przed wojną i w czasie wojny byli z Warszawą związani. Pierwsze, samodzielne mieszkanie mojego Ojca mieściło się w Alejach Ujazdowskich, w Domu pod Gigantami. Kamienica została wzniesiona w latach 1904–1907 według projektu polskiego architekta Władysława Marconiego w stylu wczesnomodernistycznym z elementami klasycystycznymi i barokowymi. Wybuch II wojny światowej, powołanie Ojca do wojska oraz zarekwirowanie przez Niemców mieszkania z całym wyposażeniem zakończyło warszawski epizod, do którego Ojciec chętnie w opowieściach powracał, a będąc w Warszawie z sentymentem patrzył na ową kamienicę. Jedyne, co udało mu się odzyskać, to przykręcona do drzwi wejściowych mosiężna tabliczka z jego imieniem i nazwiskiem. Ta wizytówka anonsująca

właściciela jest do tej pory na drzwiach łódzkiego mieszkania. Mama, po ucieczce z rodzinnego Lwowa w 1939 r., w trudnych warunkach wojennej okupacji wkraczała w dorosłość mieszkając w Warszawie „kątem przy rodzinie” żyjącej z wynajmu pokoi. Pierwszą pracę zawodową podjęła w Bibliotece Ordynacji Zamoyskich, gdzie związała się z naukowym środowiskiem ówczesnych historyków. Pod ich opieką przygotowała i obroniła pracę magisterską. Dla rodziców Warszawa miała więc urok miasta, które nauczyło ich samodzielności, towarzyszyło młodzieńczym planom, zawodowym ambicjom oraz rodzącej się między nimi miłości.

Nasze łódzkie mieszkanie mieściło się niedaleko dworca Fabrycznego, w centrum miasta, przy mniej ruchliwej ulicy, w przedwojennej trzypiętrowej kamienicy. Mieszkaliśmy na ostatnim piętrze, bez windy. Schody dawały się we znaki bardzo małym dzieciom oraz seniorom. Chociaż pod koniec życia mój dziewięćdziesięcioletni Ojciec uważał, że tej codziennej wspinaczce zawdzięcza po części długowieczność. Ulica długo wybrukowana była tzw. kocimi łbami. W kamienicy było centralne ogrzewanie z indywidualnymi piecami na węgiel. Jesienią przyjeżdżał wóz konny i zwał tony węgla, który trzeba było przenieść do piwnicy, a później codziennie dźwigać wiadrami do kuchennego pieca i pilnować, żeby nie wygasł. Noszenie węgla i doglądanie pieca to była nasza zmora dzieciństwa. Dopiero pod koniec XX wieku wymieniono piec węglowy na gazowy. Do kuchni wejściem z oficyny prowadziły schody inne niż te od frontu. W czasach dzieciństwa codziennie o piątej rano objuczona konwiami mleka zjawiała się kobieta, nazwana przez dzieci „mleczarą”. Przyjeżdżała z podmiejskiej wsi. Rzadziej, też systematycznie, przychodziła „baba z jajkami” i białym serem, sporadycznie z cielęciną. Był to swoisty catering na miarę ówczesnych czasów. Panią mleczarkę darzyliśmy sympatią i podziwem. Z garbem i niskiego wzrostu była osobą pogodną, lubiącą się pośmiać i pożartować. A jej mleko z grubym ko-

zuchem było pyszne. Teraz by się powiedziało „prawdziwe, od krowy”. O ten kozuch co rano toczyliśmy boje.

Mieszkanie usytuowane od frontu było stosunkowo duże, około 140 m kw. Składało się z czterech pokoi, z tzw. służbówki, kuchni ze spiżarnią, łazienki i sporego holu. Jak na ówczesne warunki był to wysoki standard. Nazwy pokoi przypisane były do zamieszkujących je lokatorów. Był zatem pokój Dziadka<sup>4</sup>, pokój rodziców – ich sypialnia będąca równocześnie gabinetem Mamy, pokój dziecienny (tak niepoprawnie go nazywaliśmy), który dzieliłam z młodszymi braćmi. Gdy byłam starsza pokój przedzielono solidnymi szafami na dwie części. Zyskałam namiastkę własnej przestrzeni. Meble zmieniały się wraz z naszymi potrzebami, razem z nami rosły zwłaszcza gabaryty łóżek, pojawiły się biurka i regały na książki. Powoli znikwały sterty klocków i innych zabawek. Trzy duże pokoje tworzyły okrąg. Przy otwartych drzwiach można było gonić się w kółko, bawić w chowanego lub jeździć na małym rowerku. Środkowy pokój z przejściem do kuchni ze względu na jego funkcję i duży krągły stół po środku nazywaliśmy „stołowym”. Było to miejsce wspólnych posiłków, rodzinnych spotkań, słuchania radia, płyt gramofonowych, a gdy nastało królestwo telewizora, stał się także domową salą kinową. Początkowo jeden, a później dwa kanały nie były konfliktogenne. Rodzinnie można było oglądać zwłaszcza czwartkową „Kobrę”. Przy stole odrabiano się lekcje, rozkładało gry planszowe, a w fotelach i na kanapie w wygodnej pozycji można się było oddawać lekturze książek, zaś we wczesnym dzieciństwie słuchać ich czytanych przez ukochaną Babunię. Dom zawsze był pełen. W porze obiadowej przychodzili mieszkający niedaleko Dziadkowie<sup>5</sup>, rodzice mojej Mamy. Trzypokoleniowa ro-

---

<sup>4</sup> Szczęsny Libiszowski (1881–1970).

<sup>5</sup> Wojciech (1888–1960) i Zofia (1887–1971) z Baworowskich Gołuchowscy.

dzina zasiadała przy okrągłym stole do obiadu przygotowanego przez gosposię. Ze względu na siermiężne czasy posiłki były proste, lecz spożywane z zachowaniem manier i etykiety, do których od najmłodszych lat mnie i braci wdrażano. Konwersacje dorosłych ze względu na obecność dzieci i gosposi często prowadzono w języku francuskim. Pod koniec lat pięćdziesiątych dziadkowie Gołuchowscy przenieśli się do Warszawy.

Dom zawsze był przyjazny i otwarty dla gości. Zwłaszcza moja Mama, o ujmującym sposobie bycia, była osobą bardzo towarzyską, uwielbiała bywać na rautach i organizować przyjęcia. Przez dom przewijali się goście uświetniający rodzinne uroczystości i rocznice, podejmowani byli wizytujący Uniwersytet profesorowie z zagranicznych uczelni, wpadali na konsultację doktoranci. Mama, bez reszty poświęcona pracy naukowej, zdobywaniu tytułów i szczerbli w karierze akademickiej, miała zawsze czas dla rodziny, grona przyjaciół i ludzi potrzebujących jej rady czy wsparcia. Jeden z jej uczniów w pośmiertnym wspomnieniu tak o tych spotkaniach napisał: „Jej salon-gabinet uczoney, wypełniony książkami i pamiątkami z magnackiej przeszłości, był miejscem dyskusji o problemach nauki, polskiej kultury, a także polityki. Zawsze podziwiałem kulturę emanującą na tych spotkaniach, którym ton nadawała życzliwa ludziom Pani domu. Zawsze gościnna, dyskretna i powściągliwa w wydawaniu sądów”<sup>6</sup>.

Na stylu życia rodziców ważyło ich przedwojenne, ziemiańskie pochodzenie i wzorce przeniesione z minionej epoki. Współgrająca z tym życzliwość i otwartość na ludzi, poczucie odpowiedzialności i chęć niesienia pomocy innym, a także towarzyskie wyrobienie, osobista kultura, wiedza i inteligencja sprawiały, że dom tętnił życiem. Trudno

---

<sup>6</sup> L. Gruszczyński, *Wspomnienie o prof. Zofii Libiszowskiej*, „Dziennik Łódzki” z 14 czerwca 2000 r.



się dziwić, rodzice byli młodzi i odrabiali straconsy wojenny czas. Złaknieni byli osobistych kontaktów i towarzyskich spotkań. W Łodzi odnaleźli starych znajomych, zaprzyjaźnili się z ludźmi ze świata nauki i sztuki. Odradzało się życie kulturalne, zaczęły działać teatry, kina, muzea organizowały wystawy, a w filharmonii odbywały się muzyczne recitale. Dziadek Szczęsny co piątek bywał na koncertach muzyki poważnej, czasami mnie lub brata ze sobą zabierał.

Do lat pięćdziesiątych opresja systemu komunistycznego nie była dla rodziców tak dotkliwa, jak stało się to później. W wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Papierniczemu” w grudniu 2009 r. Ojciec tak ten czas zapamiętał: „(...) po roku pracy zostałem formalnie przez ministra przemysłu nominowany na stanowisko z-cy dyrektora ds. ekonomicznych. Stanowisko to zajmowałem ok. 5 lat, ale w lipcu 1951 r. oznajmiono mi, że z moim nazwiskiem nie mogę nadal na nim pozostawać”. Dosyć wcześnie zorientowałam się, że istnieją dwa odrębne światy – nasz i ten na zewnątrz. Wiedziałam, że nie wolno powtarzać tego, o czym rodzice rozmawiają w domu. Intuicyjnie wyczuwałam, że moja paplanina mogłaby nam zaszkodzić. Po wojnie dziadkowie i rodzice starali się dopasować do nowej dla nich rzeczywistości. Wychowani w duchu patriotyzmu, lojalności wobec ojczyzny i rzetelnej pracy w służbie drugiemu człowiekowi, realizowali wpojone im w dzieciństwie ideały, jak umieli najlepiej.

Rodzice pracujący zawodowo wspomagani byli w opiece kuńcych i domowych obowiązkach przez młode dziewczyny pochodzące ze wsi. Gdy byliśmy mali, na stałe mieszkały z nami dwie pomoce domowe, jedna do dzieci, druga do prowadzenia gospodarstwa, czyli robienia zakupów, sprzątanania i gotowania. Opiekunka do dzieci dzieliła z nami pokój. Gospośia miała mały pokoik, tzw. służbówkę, oraz królowała w kuchni. Nianie zmieniały się w rytm ich zamążpójścia. Gdy najmłodszy brat zaczął chodzić do szkoły,

pozostała z nami jedna gosposia, która opuściła nas, gdy rozpoczęłam studia. Przejęłam jej skromnych rozmiarów pokoi, gdzie urządziłam swoje królestwo. Pani Władzia przez lata rządziła w domu. Wszyscy domownicy ulegali jej terrorowi. Rodzice z obawy, żeby nie odeszła, małe dzieci zвычайnie się jej bały. Nie zmieniło się to, gdy byliśmy już starsi. Strach minął, a pozostało zakodowane posłuszeństwo, bo tego wymagali od nas rodzice. Nasi znajomi też woleli omijać ją „szerokim łukiem”, nikt nie chciał się jej narazić. Ona wyznaczała godziny posiłków, dyktowała menu, dzieliła domowe obowiązki, których wykonania bezwzględnie przestrzegała. Przy stole nie wolno było grymasić, trzeba było wszystko zjadać.

Chociaż mieliśmy telefon, co było wówczas rzadkością, na ogół nie anonsowano wizyt, lecz wpadano bez zapowiedzi. Wtedy był to przyjęty zwyczaj. Z czasem odszedł w zapomnienie i teraz bez uprzedzenia i zaproszenia nie wypada znajomych „nachodzić”. Krótkotrwałym przerwanikiem były lata osiemdziesiąte XX wieku, gdy w stanie wojennym „ogłuchły” telefony, a sytuacja polityczna ożywiła „nocne Polaków rozmowy”. Nie trwało to jednak długo. Obecnie na wzór modły angielskiej domy coraz bardziej stają się fortecami trudnymi do sforsowania przez nieproszonych gości. Powszechność telefonów wyeliminowała spontaniczność w ludzkich relacjach, pojawiły się inne niż bezpośrednie formy komunikacji.

W domu bywali nie tylko znajomi rodziców, ale także moje koleżanki i koledzy braci, z czasem także moi koledzy ze studiów. Od wczesnej szkoły podstawowej domową tradycją stały się moje imieniny, urządzone corocznie, a w czasie studiów także zabawy sylwestrowe. W święta dom był pełen gości. Gdy założyłam własną rodzinę i zamieszkałam w Warszawie, dopóki żyli rodzice, coroczne święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy spędzaliśmy z nimi w Łodzi i z rodzinami moich braci.

Wystrój mieszkania był typowo mieszczański, z ciężkimi meblami będącymi pozostałością po poprzednim właścicielu, który przenosząc się do Warszawy odprzedał je. W czasie wojny mieszkanie okupowali Niemcy, o czym świadczyły pozostawione książki i ciężkie encyklopedie z kolorowymi ilustracjami. W dzieciństwie lubiłam je z braćmi oglądać leżąc na podłodze. Dziadkowi udało się uratować ze swojego przedwojennego majątku trochę mniejszych mebli i pamiątek. Dziadek i Ojciec ocalałe przedmioty traktowali niczym relikwie. Ich wartość była dla nich bezcenna. Nieważne, czy były to moje ulubione porcelanowe figurki, czy zaplątana buteleczka po lekarstwie lub stare wieczne pióro. Kultywowane pamiątki stwarzały obu panom namiastkę domu rodzinnego, który musieli opuścić, i koily tęsknotę za ukochanym Mroczkowem. Razem z braćmi traktowałam ocalałe przedmioty jak skarby, które kiedyś po rodzicach będziemy dziedziczyć. Już wtedy lubiliśmy dokonywać podziału łupów. Z przejściem oglądaliśmy z Dziadkiem stare albumy fotograficzne, w których zamknięta była przeszłość. W stołowym pokoju górował nad nami ogromny portret pięknej młodej kobiety, matki mojego Ojca, ukochanej żony Dziadka<sup>7</sup>, która zmarła w wieku 37 lat. Spoglądała na nas także z wielu fotografii. Ściany zdobiły obrazy, rodzinne zdjęcia i makaty. Na komodach i w serwantce stały różnej ornamentyki bibeloty przywołujące wspomnienia po darczyńcach i dawnych czasach rodowej świetności. Sypialnio-gabinet wypełniony był książkami i odgłosem wiecznie stukającej przedwojennej maszyny do pisania, którą rodzice eksploatowali zamiennie, nim nie dorobili się drugiego egzemplarza.

W dzieciństwie zamiast bajek Ojciec lubił mi opowiadać o swoich i Mamy przodkach, wymieniał rodowe koligacje i koneksje – kto z kim był żonaty i w jakiej chronologii. Był zadowolony, gdy je zapamiętywałam i potrafiłam powtórzyć.

---

<sup>7</sup> Halina z Jeżewskich Libiszowska (1890–1927).

Ta wiedza, choć już zatarta i z lukami, przydaje się teraz, gdy nastała moda na poszukiwanie swoich korzeni, rysowanie drzew genealogicznych, coraz częściej zamieszczanych na specjalistycznych stronach internetowych.

## Odległe czasy domostw ziemiańskich

Rodzice opowiadali nam o swoim dzieciństwie i młodości, o domach i miejscowościach, w których mieszkali. Co ciekawe, po wojnie żadne z nich nie chciało tam pojechać, by tylko zobaczyć. Woleli pamiętać o tym, co było, obawiali się tego, co mogliby tam zastać. Mama po wojnie do Lwowa nigdy się nie wybrała, zresztą nie było takiej możliwości. Majątek i rodzinny dom Ojca jest stosunkowo niedaleko Łodzi, we wsi Mroczków<sup>8</sup> oddalanej osiem kilometrów od Opoczna, w sąsiedztwie wsi Libiszów. Po raz pierwszy w końcówce lat osiemdziesiątych Ojciec dał się namówić dorosłym już dzieciom na wspólną wycieczkę. Do domu jednak nigdy nie wszedł, spacerował jedynie po ogromnym parku, pokazywał nam drzewa sadzone za jego młodości i te dużo starsze. Z przykrością patrzył na dewastację parku, na niszczący drzewostan, zaniedbany staw, na chaszczę i zarośla na miejscu parkowych alei, na zdziczały sad rodzący niegdyś dorodne owoce. Po wojnie w domu ulokował się Zespół Szkół Rolniczych z internatem. Jakie było nasze zaskoczenie, gdy w przestronnym holu zobaczyliśmy ogromny traktor.

---

<sup>8</sup> Mroczków Gościny – wieś w województwie łódzkim, powiat opoczyński, gmina Opoczno, nad rzeką Brzuśnią. Wieś istniała już w początkach XV stulecia. Od końca XVIII w. znajdowała się w rękach Libiszowskich. W 1775 r., za czasów Marcina Libiszowskiego, członka komisji sejmowych, były tu dwór, folwark, karczma i młyn oraz 20 gospodarstw chłopskich. W XIX w. właścicielem wsi był Antoni Libiszowski, pułkownik wojsk napoleońskich i poseł ziemi sandomierskiej. We wsi znajduje się zabytkowy zespół dworsko-parkowy ([https://pl.wikipedia.org/wiki/Mroczk%C3%B3w\\_Go%C5%9Bciny](https://pl.wikipedia.org/wiki/Mroczk%C3%B3w_Go%C5%9Bciny)).

Od tego czasu jeździmy tam częściej. Teraz już bez rodziców spotykamy się w parku na rodzinnych zjazdach w coraz większym gronie. Pokolenie mojego syna założyło własne rodziny, pojawiły się dzieci i będą kolejne. Dzieciom i wnukom opowiadamy o tym, co nam samym udało się zapamiętać. Po latach to oni przejmą pałeczkę, a moje pokolenie dołączy w ich wspomnieniach do rodzinnego panteonu antenatów.

Gdy szkoła się wyprowadziła, budynek został poddany solidnemu remontowi z funduszu unijnego. Od lutego 2020 roku mieści się w nim placówka opiekuńczo-wychowawcza, dom dla 14 dzieci. Informację o uroczystości otwarcia znalazłam w Internecie: „W Mroczkowie Gościnnym koło Opoczna została otwarta i poświęcona placówka opiekuńczo-wychowawcza ‘Pałacyk’. Nazwa nawiązuje do obiektu zbudowanego przez pierwszych właścicieli miejsca, rodziny Libiszowskich. Dobra, a więc pałacyk i okoliczny park, zostały zabrane przez władze komunistyczne”<sup>9</sup>. Chwalebne, że dom stanie się bezpieczną przystanią dla skrzywdzonych dzieci, że po latach bezmyślnej dewastacji zyska gospodarza, który zadba o budynek i rozległy park.

Mama, z hrabiowskiego rodu Gołuchowskich<sup>10</sup>, dzieciństwo spędziła we wsi Janów pod Lwowem, a młodość we Lwowie. W czasie I wojny światowej, gdy całkowitemu zniszczeniu uległ ich rodzinny dom w Kołtowiu<sup>11</sup>, zmuszeni

---

<sup>9</sup> <https://radom.gosc.pl/gal/pokaz/6168138.Otwarcie-placowki-Palacyk#gt>

<sup>10</sup> Maria z Gołuchowskich Zachorowska, *Gołuchowscy linia hrabiowska*, t. 1–2, Kraków 2017.

<sup>11</sup> Kołtów, wieś położona w bagnistej kotlinie Bugu. W XIX w. własność Felicji Starzeńskiej – żony Józefa Baworowskiego. W rękę Baworowskich do lat 20. XX w. Ostatni właściciele to Zofia Maria Baworowska i jej mąż Wojciech Gołuchowski (do 1939). Dwór, park krajobrazowy (malowniczo położony nad stawem) i kaplica – zniszczone w czasie I wojny światowej. Zachowała się neoklasycystyczna cerkiew ufundowana przez Baworowskich (<http://www.lwow.home.pl/huta-pieniacka/rajd-pazdziernik2007.html>).

byli przenieść się do znacznie skromniejszego leśnego majątku. W pisanych pod koniec życia wspomnieniach Mama tak swój rodzinny dom czasów dzieciństwa zapamiętała:

Opuszczony budynek poprzedniej administracji Janowa stał się naszą siedzibą przystosowaną do potrzeb rodzinnego życia. Położenie miał wygodne, blisko dworca kolejowego. Dzieci cieszyły się na tę zmianę. Po wędrówkach i przeprowadzkach wojennych marzyliśmy o swobodzie wiejskiej i własnym domu rodzinnym. Dzień podróży i pierwsze wrażenia utkwiły w mojej pamięci dokładnie. Zapamiętałam panoramę miasteczka, które było straszliwie wojną zmasakrowane, kikuty kominów sterczały nad spalonymi domami. Skromne warunki mieszkaniowe jednak nas zachwyciły. Oświetlenie dawała lampa naftowa, co nas cieszyło. Niedługo, dzięki naszym zakładom przemysłowym i staraniom mego ojca, nastąpiła ponowna elektryfikacja Janowa. Wykopano na podwórzu własną studnię, mieliśmy więc czystą źródlaną wodę, największe dobrodziejstwo życia wiejskiego. O estetykę domu i jego otoczenie zadbała moja mama. Otoczono fasadę murowaną balustradą, co stworzyło rodzaj werandy, poszerzającej rozmiary domu. Dzięki tym zmianom standardowy dom administracyjny urósł do rangi „dworu”, a z czasem nawet „pałacu”. Matka dbała również o ogród warzywny. Niebawem pod osłoną budynków gospodarczych pojawiły się skrzynie inspektowe, jako swego rodzaju novum w tej okolicy. Podjęła również eksperymentalną próbę wprowadzenia pod osłoną dachu owoców południowych – moreli i brzoskwiń – przedmiotu pożądania wiejskich złodziejasków. Uczestniczyliśmy z zapałem w tych nowatorskich inicjatywach, które powierzano też naszej opiece. Przystosowywano nas do życia na wsi, do różnych prac w formie „zabaw domowych”. Tak zarysowywała się nasza przyszłość i wrastanie kolejnego pokolenia w ziemię rodzinną. Nasz „dwór” odbiegał wyraźnie od tradycyjnych ziemiańskich siedzib. Nie osłaniały go ogrodzenia i zamknięte bramy. Dom był otwarty i gościnny. Prawdziwi ubodzy mieli zawsze dostęp do naszej miłosiernej matki. Najpiękniejszą ozdobą i świadectwem długowieczno-

ści przyrody, a tym samym kultury człowieka, były kilkusetletnie lipy. Według miejscowej legendy, pamiętały one czasy Jana Sobieskiego – wyrosłe na odwiecznym gazonie przed domem. Silne, rozrośnięte, odporne, otoczone powszechnym szacunkiem i niemal bałwochwalczą czcią, dawały osłonę przelotnym ptakom. Ściągały chmary pszczół z pobliskich pasiek, szumiały opiekuńczo i przyjaźnie, kojąc lęk i niepokój. Dosięgnął je jednak wandalizm drugiej wojny światowej. Gdy w czasie okupacji niemieckiej znalazłam się ponownie we Lwowie, postanowiłam odwiedzić „kraj lat dzieciennych” i pokłonić się odwiecznym drzewom. Na wydeptanym i rozgrzebanym gazonie pozostały jedynie ślady wyrąbanych pni. Zamilkło też ptactwo wokół naszego domu. Znak, że i my tu nie powrócimy<sup>12</sup>.

Dziadkowie Gołuchowscy mieli trójkę dzieci, czternaścioro wnuków oraz trzydzieścioro siedmioro prawnuków, wszyscy w związkach małżeńskich, czyli w sumie ich najbliżsi do trzeciego pokolenia „w dół” to sto dwoje potomnych. Linia nadal się ciągnie – prawnuki mają własne dietne rodziny. W roku 2017 udało się zebrać osiemdziesięciu krewnych rozrzuconych po kraju i świecie (w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Norwegii, Peru, Anglii, Szwajcarii), by śladami wspólnych przodków odbyć sentymentalną podróż na dawne kresy Rzeczypospolitej (obecnie tereny Ukrainy). Jechaliśmy z intencją zanurzenia się w rodzinnej tradycji, by posmakować, jak to kiedyś bywało i porównać z tym, co zyskaliśmy w zamian. Odnajdywanie śladów antenatów jest jedyną w swoim rodzaju wyprawą łączącą i scalającą przeszłość z teraźniejszością, tych którzy odeszli z tymi, którzy żyją i jeszcze pamiętają. Zjazd był swoistą sztafetą pokoleń – od przodków spisanych w dwutomowej sadze rodzinnej

---

<sup>12</sup> Z. Libiszowska, *Moje Uniwersytety*, [w:] *Moja droga do nauki*, E. Paradowska (red.), Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1996, s. 186–187.

przez kuzynkę Marię z Gołuchowskich Zachorowską – po obecnie żyjące trzy generacje ich „spadkobierców”<sup>13</sup>.

Pierwszy postój był w Janowie (dzisiejsze Iwano-Frankowe). Ze wzruszeniem spoglądaliśmy na nadszarpnięte zębem czasu i bezmyślnym wandalizmem domostwo naszych dziadków, Wojciecha i Zofii, na staw janowski i na okoliczne lasy należące niegdyś do ich majątku. Obecnie w domu mieści się miejski ośrodek pomocy społecznej. Mojej Babuni takie wykorzystanie jej posiadłości z pewnością by się spodobało.

We Lwowie ostał się dobrze zachowany pałac zbudowany przez (prapradziadka) namiestnika Galicji, Agenora Romualda Gołuchowskiego w 1865 r. Budynek usytuowany jest obok miejskiego parku, w którym w latach 1901–1950 stał jego pomnik według projektu znakomitego rzeźbiarza Cypriana Godebskiego<sup>14</sup>. Dziś jego miejsce zajęła imponująca żeliwna waza. W nowej rzeczywistości prywatna siedziba rodu Gołuchowskich stała się dobrem publicznym. W zrewitalizowanym budynku ulokował się szpital kolejowy. Do nowych potrzeb dostosowano wnętrze, fasadę pozostawiając niezmienioną. W pobliżu pałacu wtedy i teraz stoi budynek dawnego Sejmu Krajowego, który po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zajął Uniwersytet Lwowski, Alma Mater mojej Mamy i jej starszej siostry<sup>15</sup>. Ich brat<sup>16</sup> studiował leśnictwo na Politechnice Lwowskiej.

Następny przystanek był w Kołtowie, dawnym majątku Baworowskich, ślubnym wianie Babuni, gdzie po zniszczonym dworze nic nie pozostało. Nagrodą dla nas były

---

<sup>13</sup> Opis wycieczki na internetowej stronie: <https://www.kuriergalicyjski.com/rozmailtości/6248-obowiazek-zyjacych-pamietac-o-przodkach>

<sup>14</sup> <https://polska-org.pl/8839048,Lwow,PomnikAgenoraGoluchowskiego.html>

<sup>15</sup> Prof. Maria Anna z Gołuchowskich Dembińska (1916–1996).

<sup>16</sup> Mgr inż. Jan Gołuchowski (1913–1995).



urokliwe widoki kwietnych łąk oraz pole żółtych słoneczników ciągnących się aż po horyzont. Ostatnim etapem sentymentalnej podróży była Skała Podolska, ordynacja Gołuchowskich od początków XIX wieku. Także i ten pałac uległ całkowitemu zniszczeniu podczas I wojny światowej. Ocalały jedynie budynki gospodarcze, dawny szpital, kordegarda i częściowo park. Duże wrażenie zrobił na nas ciąg ocalałych murów dających wyobrażenie o wielkości i wspańiałości tego, co bezpowrotnie minęło. Zadbany, teraz już miejski, park urzekł nas starymi drzewami pamiętającymi czasy antenatów.

\* \* \*

Moje własne domostwo, które bez mała od pół wieku dzielę z moim mężem Wiesławem, nawiązuje do stylistyki domu rodzinnego i utraconych domostw moich rodziców i dziadków. Z pietyzmem przechowuję odziedziczone po nich przedmioty. Rodzinne fotografie, których sporą kolekcję zgromadziłam na ścianach, dają namiastkę obcowania z tymi, którzy bezpowrotnie odeszli, zaś rodowe pamiątki przenoszą mnie myślami w minione lata, w dawne mody i style. Z wiekiem coraz częściej powracają sny, w których jestem małą dziewczynką w łódzkim mieszkaniu, a obok są kochający rodzice i dziadkowie. Po przebudzeniu nie pamiętam sennej scenerii i rozegranej akcji, a jedynie odczuwam duchową bliskość z tymi, których fizycznie przy mnie już nie ma.